



Książnica Zamojska



10184642

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

MARYA KONOPNICKA

N^o 26.

URBANOWA

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

KSIĘGARNIA POLSKA W ZAMOŚCIU
Z. POMARAŃSKI i S^{-ka}



30

821.162.1-3



Ktoby to pomyślał, że nazwisko, które potem tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezji, usłyszę po raz pierwszy w kuchni, z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak było, i to z okazji stłuczonego garnka.

Wogóle garnki tłukły się u nas, jakby na komendę. Z rana bowiem Urbanowej »czegoś się ręce trzęsły«, w południe »wszystko jej z rąk leciało«, wieczorem zaś »cała nie mogła«¹⁾. Jeśli zaś przypadkiem »mogła«, to zwykle wtedy »musiała duchem skoczyć naprzeciwko«²⁾, poczem w kuchni bywało prawdziwe pobojowisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już oddawna, od bardzo dawna, nikogo... W obecności jej bowiem nie

¹⁾ Zaniemogła.

²⁾ T. j. do szynku.

odważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek stłukł. Na to były specjalne określenia, których liczba mnożyła się co dzień, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się »oberżnąć«, »okroić«, »pęknać«, »wyszczерbić«, »utrącić«, »wyslizgnąć« lub zgola »klapnąć«. Przy takim bogactwie wyrażen, malujących każdy pojedynczy przypadek, już nie wiem, co by za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tem, jako został »stłuczony«.

A ponieważ żaden stłuczony nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów, rzędami ustawionych, miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nie tylko swoje miejsce, ale także i swoją historję.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich, wzdychając i kiwając głową.

— Jeszczebyś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka... Garnek był, jak rzepa... Taki dzwon miał, że to ha!

Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garncowy garnek... żebym tak zdrowa była! Jaka to polewa!... On jeszcze dziś więcej wart, niż drugi cały...

Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze, poczem sięgała po trzeci.

— Na kanonickim rynku go kupiłam... Dziś sześć tygodni... Nie, lżeł!... Dziś pięć tygodni i trzy dni... Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żeby tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię... Żeby się nie był utracił, toby do roku wytrzymał... Garnek, jak szkło...

Z kolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którądy on ciecze?... A ciecze, choroba!...

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawiać miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz, babo, redutę!¹⁾ — wołała Urbanowa, uderzając, w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś załśnił!²⁾... Nienastarczone rzeczy z temi skorupami... No, i rób, co chcesz! Taki nowy garnek... A bodajżeś zmarniał!... Pólsiodma czeskiego³⁾ da-

¹⁾ Reduta — bal maskowy.

²⁾ T. j. oślepl.

³⁾ Moneta wartości 6 groszy.

łam... Tygodnia nie ma... A żeby to choroba z takim gospodarstwem!... Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu niema, tylko same skorupy...

Jakem była u państwa Asnyk, to tam żadnych skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi, jak wybrane... Żebym tak jutra doczekała, jak nie lżę... Same żelazne!... Żebym tak mego Jaśka szczęśliwie wychowała!...

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było w kółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk było tak a tak, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nie nawykła... słowem gotowy prejudykat¹⁾ na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy dla świętego spokoju, robiło się u nas tak jak »u państwa Asnyk«.

Jedne żelaźniaki szły jakoś oporem, gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą²⁾ i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

¹⁾ Prejudykat — wyrok, stanowiący wskazówkę dla późniejszych wypadków.

²⁾ Zachowawcą.

Stąd powstawały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiedz, lubo byłam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierocego domu, pomiędzy odrabianiem lekcyi do księdza Kubusiewicza a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że, skutkiem zupełnego w owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko »państwa Asnyk«, rodziców poety¹⁾, obrzydło mi tak, żem go po prostu znieść nie mogła i uciekałam w ostatni kąt, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją Odyseję²⁾ o żelaznych garnkach.

A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem codziennie, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyne wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły, i nie tak jej wszystko z nich leciało, i takiego trajkotania o »państwie Asnyk« nie było.

Od południa za to grzała Urbanowa wodę, czasem ług nawet, dobywała resztki z cało-

¹⁾ Adam Asnyk, poeta polski, ur. w r. 1830 umarł w r. 1896.

²⁾ Odyseja — poemat starogrecki o rozlicznych przygodach na morzu i lądzie, potem wogóle długie opowiadanie.

tygodniowych obiadów, szykowała nici i łątki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to, popłakując i wycierając nos w gruby kuchenny fartuch, a wyglądając coraz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasiek. Wysoki był, chudy, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pośpieszyńskiego. Lat miał może ze szesnaście. Przychodził zwykle brudny, odarty, z miną dziwnie wygłodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchając w bok lub w kark, gdzie się dało, wpychała go do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kuferku i patrzył osowiały to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne, a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie, cienkie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego knfra...

Lubiłam bardzo Jaśka. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o »państwu Asnyk«, a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapominałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale, wlaższy na wysoki kuchenny stółek, kłę-

kałam na nim i, zapałrzona w Jaśka, wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwytów wszakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

Ale ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaśka spencerek i kamizelczyne, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stół, przyczem daje mu w kark raz, albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje szyję, głowę, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego? Czy że koszula była taka czarna, jak sadze, czy że na grzbiecie chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wylazły przez skórę...

Wymywszy Jaśka, dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak szedł za komin, a gdy wylazł z tej kryjówki już obleczony, czesała go, szturkając w kark, jeśli nie dość głowę przychyłał, przyczem znów zaczynała płakać i nos wycierać co chwila. Po tej dopiero operacyi dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiek jadł, łątała jego ubranie, popłakując i wzdychając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę od

klucza było właśnie jak najrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiek zaczął mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe Anusine trzewiczki.

Miałam je dostać na gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiek był srodze czemś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilia Trzech Króli...

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i »Małgorzatką, tańczącą z huzarami«, ale prawdziwy teatr, z żywych, mówiących osób, między którymi była śmierć, anioł i dyabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsło się tak, żem głosu wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w mem życiu.

Trzeba było wszakże czekać długą jeszcze chwilę, zanim przedstawienie odbyło się na dole u gospodarza. Myślałam, że się to nigdy nie skończy. Rozległy się nareszcie po schodach ciężkie kroki i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju weszli aktorzy, poprzedzeni przez straszliwie czarnego, z wywieszonym aż na piersi, czerwonym, sukiennym językiem

dyabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Chwyciłam pokojówkę za kaftan. Dusza we mnie zamierała...

Za dyablem wbiegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obcisłe do kolan pantalony, niebieską zarzuconą na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i biret¹⁾, z pięknem białem piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło z pod ściany, postawił na środku pokoju, poczem, schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył. Król Herod wszedł chmurny, »w zamyślach«, ze spuszczoną głową; miał długi, czerwony, widocznie z poszwy²⁾ jakiejś zaimprovizowany płaszcz, berło w ręku i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś...

Tuż za nim wsunęła się nieładzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, z pod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w ręku stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże, zbrodniczym myślom oddany Herod, a rozparłszy się w swo-

¹⁾ Biret, beret — czapka rogata.

²⁾ Poszwa — poszewka na poduszki.

jej trochę jeszcze zapierzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym dyalogiem¹⁾.

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośne kłaśnięcie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiek! Mój Jasiek! Mój król! Mój królewicz złoty!

I, zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię i w uniesieniu najwyższej radości, ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić z swej roli, próbował monologować²⁾ dalej; nagle przecież głos mu się złamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy łzy, niby iskry srebrne, migąły jedne za drugą...

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarknął, że się król »na nic zgapił«. Śmierć raziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, tło zaś tej jedynej w swoim rodzaju sytuacji³⁾ tworzył piskliwy, perliczy⁴⁾ głos anioła, który od początku przedstawienia

¹⁾ Dyalog — rozmowa.

²⁾ Monologować — przemawiać do siebie samego (na scenie).

³⁾ Sytuacja — położenie, zdarzenie.

⁴⁾ Od: perlica, perliczka.

w równych odstępach wyśpiewywał z za pieca:
*Gloria! Gloria in excelsis Deo!*¹⁾

I znowu:

Gloria! Gloria in excelsis Deo!

Co do dyabła, ten ani na chwilę nie stracił rezonu²⁾; ale, stanąwszy przed królem Herodem, uderzył w podłogę wielkim czarnym drągiem i, brzęknąwszy łańcuchem, zaryczał:

»Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!«...

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt³⁾, a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka, pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem Urbanową na stronę, przedstawienie odbyło się szczęśliwie, aż do tej stanowczej chwili, kiedy król, ścięty kosą śmierci, opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a dyabeł nadziewa go na widły mówiąc:

»Królu Herodzie! Za tve zbytki
Pójdź do piekła, boś ty brzydki!«

.....

Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

¹⁾ Chwała Panu na wysokościach! (łac.)

²⁾ Tu: przytomności.

³⁾ Wrażenie.

Garnki wprowadzie po dawnemu się tłukły, ale o »państwu Asnyk« nie było tak często mowy. Za to czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— O la Boga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiek był królem! A on już ciecze, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sążen drzewa zaczęli akurat trzy dni przed tem, nim Jasiek był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takim przekonaniem, jakby królestwo Jaśka było spełnionym faktem¹⁾ politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaśka od Pośpieszyńskiego odebrać, bo »co mu ta po siewstwie«.

Jeszcze i w tem zaszła zmiana, że Urbanowa nie myśla teraz króla Heroda sama, ale, szturchnąwszy go na powitanie, nalewała wodę, dawała mu mydło do ręki i kazała samemu sobie »kosierować«²⁾ — jak mówiła — uszy, twarz, szyję i głowę, tylko, stojąc nad

¹⁾ Fakt — wypadek.

²⁾ Myć dokładnie, szorować.

nim, pilnowała, żeby to zrobił »dokumentnie«¹⁾. Czesania przecież nie wyrzekła się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty przybyła teraz i niedziela jeszcze.

W niedzielę po południu, uprzątnąwszy kuchnię, otwierała Urbanowa swój wysoki kufer i, wydobywszy z niego monarszą Jaśka purpurę tudzież koronę z pozłotka²⁾, kładła je na swoim łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na zwiędłych ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, to go prosiła:

— Mój Jasiek! Mój złocisty! Zawdziej-no na siebie ten ornat i koronę!... Niech ja się ciebie napatrzę! Niech ja się nacieszę!

Jasiek się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tem, że »zawdziewał«, co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żebyś tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się, moi ludzie... Istny król!...

Był to wszakże ciągle jeszcze ten sam

¹⁾ Dokładnie.

²⁾ Pozłotek — papier złocony.

czarniawy, chudy, ospowaty drażał, tylko, że purpura coraz krótszą na niego się stawiała.

Czasem też recytował¹⁾ swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Zaden, najgenialniejszy nawet tragik²⁾ nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywa w blizkiej suterynie. Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Oddawna już wprawdzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze bardzo ją lubiłam.

Kiedym weszła, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błakały się dymy ze spalonego świeżo przez kumoszki »ziela«. W pośrodku stała kupka kobiet, gwarząc półgłosem o różnych rodzajach śmierci. W głębi, na wysoko zasłanem kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa. Twarz jej zaszła już cieniem śmierci; nikły oddech ledwo piersi jej poruszał, oczy tylko z wyrazem błogości i zachwytu wzniesione były do góry.

Lewa jej ręka przytrzymała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaska, który, wstrząsany głuchem łkaniem, z twarzą,

¹⁾ Deklamował.

²⁾ Aktor, grający w tragediach.

ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy
łożku w królewskiej purpurze i złotej koro-
nie na głowie.

Z pod purpury ukazywały się oddawna
widać nie łatane przez matkę, stare, spłowiałe
spodnie i trepy na bosych, wychudzonych
nogach,



30

Nº 26.

Książnica Zamojska



10184642

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

